

**BRUNO
SCHULZ**
SKLEPY
CYNAMONOWE
i inne opowiadania

Ilustracje Bruno Schulz

**MARGINESY
KLASYCZNIE**

COPYRIGHT FOR THIS EDITION © BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2022

Sklepy
cynamonowe

1933



Sierpień

1

W lipcu ojciec mój wyjeżdżał do wód i zostawiał mnie z matką i starszym bratem na pastwę białych od żaru i oszałamiających dni letnich. Wertowaliśmy, odurzeni światłem, w tej wielkiej księdze wakacji, której wszystkie karty pały od blasku i miały na dnie słodki do omdlenia miąższ złotych gruszek.

Adela wracała w świetliste poranki, jak Pomona z ognia dnia rozżagwionego, wysypując z koszyka barwną urodę słońca – lśniące, pełne wody pod przejrzystą skórką czereśnie, tajemnicze czarne wiśnie, których woń przekraczała to, co ziszczało się w smaku; morele, w których miąższu złotym był rdzeń długich popołudni; a obok tej czystej poezji owoców wyładowywała nabrzmiące siłą i pożywnością płaty mięsa z klawiaturą żeber cielęcych, wodorosty jarzyn, niby zabite głowonogi i meduzy – surowy materiał obiadu o smaku jeszcze nieuformowanym i jałowym, wegetatywne i telluryczne ingredience obiadu o zapachu dzikim i polnym.

Przez ciemne mieszkanie na pierwszym piętrze kamienicy w rynku przechodziło co dzień na wskroś całe wielkie

lato: cisza drgających słojuw powietrznych, kwadraty blasku, śniące żarliwy swój sen na podłodze; melodia katarynki, dobyta z najgłębszej złotej żyły dnia; dwa, trzy takty refrenu, granego gdzieś na fortepianie wciąż na nowo, mdlejące w słońcu na białych trotuarach, zagubione w ogniu dnia głębokiego. Po sprzątaniu Adela zapuszczała cień na pokoje, zasuwając płócienne story. Wtedy barwy schodziły o oktawę głębiej, pokój napełniał się cieniem, jakby pograżony w światło głębi morskiej, jeszcze mętniej odbity w zielonych zwierciadłach, a cały upał dnia oddychał na storach, lekko falujących od marzeń południowej godziny.

W sobotnie popołudnia wychodziłem z matką na spacer. Z półmroku sieni wstępowało się od razu w słoneczną kąpiel dnia. Przechodnie, brodząc w złocie, mieli oczy zmrużone od żaru, jakby zalepione miodem, a podciągnięta górna warga odsłaniała im dziąsła i zęby. I wszyscy brodzący w tym dniu złocistym mieli ów grymas skwaru, jak gdyby słońce nałożyło swym wyznawcom jedną i tę samą maskę – złotą maskę bractwa słonecznego; i wszyscy, którzy szli dziś ulicami, spotykali się, mijali, starcy i młodzi, dzieci i kobiety, pozdrawiali się w przejściu tą maską, namalowaną grubą złotą farbą na twarzy, szczerzyli do siebie ten grymas bakchiczny – barbarzyńską maskę kultu pogańskiego.

Rynek był pusty i żółty od żaru, wymieciony z kurzu gorącymi wiatrami, jak biblijna pustynia. Cierniste akacje, wyrosłe z pustki żółtego placu, kipiały na nim jasnym listowiem, bukietami szlachetnie uczłunkowanych filigranów zielonych, jak drzewa na starych gobelinach. Zdawało się,

że te drzewa afektują wicher, wzbudzając teatralnie swe korony, ażeby w patetycznych przegięciach ukazać wytworność wachlarzy listnych o srebrzystym podbrzuszu, jak lustra szlachetnych lisic. Stare domy, polerowane wiatrami wielu dni, zabarwiały się refleksami wielkiej atmosfery, echem, wspomnieniami barw, rozproszonymi w głębi kolorowej pogody. Zdawało się, że całe generacje dni letnich (jak cierpliwi sztukatorzy, objający stare fasady z pleśni tynku) obtłukiwały kłamiwą glazurę, wydobywając z dnia na dzień wyraźniej prawdziwe oblicze domów, fizjonomię losu i życia, które formowało je od wewnątrz. Teraz okna, osłepione blaskiem pustego placu, spały; balkony wyznawały niebu swą pustkę; otwarte sienie pachniały chłodem i winem.

Kupka obdartusów, ocalała w kącie rynku przed płomienną miotłą upału, oblegała kawałek muru, doświadczając go wciąż na nowo rzutami guzików i monet, jak gdyby z horoskopu tych metalowych krążków odczytać można było prawdziwą tajemnicę muru, porysowanego hieroglifami rys i pęknięć. Zresztą rynek był pusty. Oczekiwało się, że przed tę sień sklepioną z beczkami winiarza podjedzie w cieniu chwiejących się akacji osiołek samarytanina, prowadzony za uzdę, a dwóch pacholków zawlecze troskliwie chorego męża z rozpalonego siodła, ażeby go po chłodnych schodach wnieść ostrożnie na pachnące szabasem piętro.

Tak wędrowaliśmy z matką przez dwie słoneczne strony rynku, wodząc nasze załamane cienie po wszystkich domach jak po klawiszach. Kwadraty bruku miały powoli pod naszymi miękkimi i płaskimi krokami – jedne

bladoróżowe, jak skóra ludzka, inne złote i sine, wszystkie płaskie, ciepłe, aksamitne na słońcu, jak jakieś twarze słoneczne, zdeptane stopami aż do niepoznaki, do błogiej nicości.

Aż wreszcie na rogu ulicy Stryjskiej weszliśmy w cień apteki. Wielka bania z sokiem malinowym w szerokim oknie aptecznym symbolizowała chłód balsamów, którym każde cierpienie mogło się tam ukoić. I po paru jeszcze domach ulica nie mogła już utrzymać nadal *decorum* miasta, jak chłop, który wracając do wsi rodzinnej, rozdziewa się po drodze z miejskiej swej elegancji, zamieniając się powoli, w miarę zbliżania do wsi, w obdartusa wiejskiego.

Przedmiejskie domki tonęły wraz z oknami, zapadnięte w bujnym i pogmatwanym kwitnieniu małych ogródków. Zapomniane przez wielki dzień, pleniły się bujnie i cicho wszelkie ziela, kwiaty i chwasty, rade z tej pauzy, którą prześnić mogły za marginesem czasu, na rubieżach nieskończonego dnia. Ogromny słonecznik, wydzwignięty na potężnej łodydze i chory na *elephantiasis*, czekał w żółtej żałobie ostatnich, smutnych dni żywota, uginając się pod przerostem potwornej korpulencji. Ale naiwne przedmiejskie dzwonki i perkalikowe niewybredne kwiatuszki stały bezradne w swych nakrochmalonych różowych i białych koszulkach, bez zrozumienia dla wielkiej tragedii słonecznika.

2

Splątany gąszcz traw, chwastów, zielska i bodiaków buzuje w ogniu popołudnia. Huczy rojowiskiem much popołu-

dniowa drzemka ogrodu. Żłote ściernisko krzyczy w słońcu jak ruda szarańcza; w rzęsimym deszczu ognia wrzeszczą świerszcze; strąki nasion eksplodują cicho jak koniki polne.

A ku parkanowi kozuch traw podnosi się wypukłym garbem-pagórem, jak gdyby ogród obrócił się we śnie na drugą stronę i grube jego, chłopskie bary oddychają ciszą ziemi. Na tych barach ogrodu niechlujna, babska bujność sierpnia wyolbrzymiała w głuche zapadliska ogromnych łopuchów, rozpanoszyła się ozorami mięsistej zieleni. Tam te wyłupiaste pałuby łopuchów wybałuszyły się jak babska szeroko rozsiadłe, na wpół pożarte przez własne oszalałe spódnice. Tam sprzedawał ogród za darmo najtańsze krupy dzikiego bzu, śmierdzącą mydłem, grubą kaszę babek, dziwką okowitę mięty i wszelką najgorszą tandetę sierpniową. Ale po drugiej stronie parkanu, za tym matecznikiem lata, w którym rozrasta się głupota zidiociałych chwastów, było śmietnisko zarosłe dzikim bodiakiem. Nikt nie wiedział, że tam właśnie odprawiał sierpień tego lata swoją wielką pogańską orgię. Na tym śmietnisku, oparte o parkan i zarosnięte dzikim bzem, stało łóżko skretyniałej dziewczyny Tłui. Tak nazywaliśmy ją wszyscy. Na kupie śmieci i odpadków, starych garnków, pantofli, rumowiska i gruzu stało zielono malowane łóżko, podparte zamiast brakującej nogi dwiema starymi ceglami.

Powietrze nad tym rumowiskiem, zdziczałe od żaru, cięte błyskawicami lśniących much końskich, rozwścieczonych słońcem, trzeszczało jak od niewidzianych grzechotek, podniecając do szału.

Tłuja siedzi przykucnięta wśród żółtej pościeli i szmat. Wielka jej głowa jeży się wiechciem czarnych włosów. Twarz jej jest kurczliwa jak miech harmonii. Co chwila grymas płaczu składa tę harmonię w tysiąc poprzecznych fałd, a zdziwienie rozciąga ją z powrotem, wygładza fałdy, odsłania szparki drobnych oczu i wilgotne dziąsła z żółtymi zębami pod ryjowatą, mięsistą wargą. Mijają godziny pełne żaru i nudy, podczas których Tłuja gaworzy półgłosem, drzemie, zrzędzi z cicha i chrząka. Muchy obsiadają nieruchomą gęstym rojem. Ale z nagła ta cała kupa brudnych gałganów, szmat i strzępów zaczyna poruszać się, jakby ożywiona chrobotem lęgnących się w niej szczurów. Muchy budzą się spłoszone i podnoszą wielkim, huczącym rojem, pełnym wściekłego bzykania, błysków i migotań. I podczas gdy gałgany zsypują się na ziemię i rozbiegają po śmietniku jak spłoszone szczury, wygrzebuje się z nich, odwija z wolna jądro, wyłuszcza się rdzeń śmietnika: na wpół naga i ciemna kretyńska dźwiga się powoli i staje, podobna do bożka pogańskiego, na krótkich dziecinnych nóżkach, a z napęczniałej napływem złości szyi, z poczerwieniałej, ciemniejącej od gniewu twarzy, na której, jak malowidła barbarzyńskie, wykwitają arabeski nabrzmiałych żył, wrywa się wrzask zwierzęcy, wrzask chrapliwy, dobyty ze wszystkich bronchii i piszczałek pół zwierzęcej, pół boskiej piersi. Bodiaki, spalone słońcem, krzyczą, łopuchy puchną i pyszną się bezwstydnym mięsem, chwasty ślinią się błyszczącym jadem, a kretyńska, ochrypla od krzyku, w konwulsji dzikiej uderza mięsistym łonem z wściekłą zapalczywością w pień bzu dzikiego, któ-

ry skrzypi cicho pod natarczywością tej rozpustnej chuci, zaklinany całym tym nędzarskim chórem do wynaturzonej, pogańskiej płodności.

Matka Tłui wynajmuje się gospodyniom do szorowania podłóg. Jest to mała, żółta jak szafran kobieta i szafranem zaprawia też podłogi, jodłowe stoły, ławy i szlabany, które w izbach ubogich zmywa. Raz zaprowadziła mnie Adela do domu tej starej Maryśki. Była wczesna poranna godzina, weszliśmy do małej izby niebiesko bielonej, z ubitą polepą glinianą na podłodze, na której leżało wczesne słońce, jaskrawożółte w tej ciszy porannej, odmierzanej przeraźliwym szczękiem chłopskiego zegara na ścianie. W skrzyni na słomie leżała głupia Maryśka, blada jak opłatek i cicha jak rękawiczka, z której wysunięto dłoń. I jakby korzystając z jej snu, gadała cisza, żółta, jaskrawa, zła cisza, monologowała, klóciła się, wygadywała głośno i ordynarnie swój maniacki monolog. Czas Maryśki – czas więziony w jej duszy, wystąpił z niej straszliwie rzeczywisty i szedł samopas przez izbę, hałaśliwy, huczący, piekielny, rosnący w jaskrawym milczeniu poranka z głośnego młyna-zegara, jak zła mąka, sypka mąka, głupia mąka wariatów.

3

W jednym z tych domków, otoczonym sztachetami brązowej barwy, tonącym w bujnej zieleni ogródka, mieszkała ciotka Agata. Wchodząc do niej, mijaliśmy w ogrodzie kolorowe szklane kule, tkwiące na tyczkach, różowe, zielone i fioletowe, w których zakłęte były całe światlane i jasne

światy, jak te idealne i szczęśliwe obrazy, zamknięte w nie-
dośćigłej doskonałości baniek mydlanych.

W półciemnej sieni ze starymi oleodrukami, pożarty-
mi przez pleśń i osłęptymi od starości, odnajdowaliśmy
znany nam zapach. W tej zaufanej starej woni mieściło
się w dziwnie prostej syntezie życie tych ludzi, alembik
rasy, gatunek krwi i sekret ich losu, zawarty niedostrzegal-
nie w codziennym mijaniu ich własnego odrębnego czasu.
Stare, mądre drzwi, których ciemne westchnienia wpusz-
czały i wypuszczały tych ludzi, milczący świadkowie wcho-
dzenia i wychodzenia matki, córek i synów – otworzyły się
bezgłośnie jak odrzwia szafy i weszliśmy w ich życie. Sie-
dzieli jakby w cieniu swego losu i nie bronili się – w pierw-
szych niezręcznych gestach wydali nam swoją tajemnicę.
Czyż nie byliśmy krwią i losem spokrewnieni z nimi?

Pokój był ciemny i aksamitny od granatowych obić ze
złotym deseniem, lecz echo dnia płomiennego drgało i tu-
taj jeszcze mosiądzem na ramach obrazów, na klamkach
i listwach złotych, choć przepuszczone przez gęstą zielenią
ogrodu. Spod ściany podniosła się ciotka Agata, wielka
i bujna, o mięsie okrągłym i białym, cętkowanym rudą rdzą
piegów. Przysiedliśmy się do nich, jakby na brzeg ich losu,
zawstydzeni trochę tą bezbronnością, z jaką wydali się nam
bez zastrzeżeń, i piliśmy wodę z sokiem różanym, napój
przedziwny, w którym znalazłem jakby najgłębszą esencję
tej upalnej soboty.

Ciotka narzekała. Był to zasadniczy ton jej rozmów,
głos tego mięsa białego i płodnego, bujającego już jakby
poza granicami osoby, zaledwie luźnie utrzymywanej

w skupieniu, w więzach formy indywidualnej, i nawet w tym skupieniu już zwielokrotnionej, gotowej rozpaść się, rozgałęzić, rozsypać w rodzinę. Była to płodność niemal samoródcza, kobiecość pozbawiona hamulców i chorobliwie wybujała.

Zdawało się, że sam aromat męskości, zapach dymu tytoniowego, dowcip kawalerski mógł dać impuls tej zaognionej kobiecości do rozpustnego dzieworódstwa. I właściwie wszystkie jej skargi na męża, na służbę, jej troski o dzieci były tylko kapryszaniem i dąsaniem się niezaspokojonej płodności, dalszym ciągiem tej opryskliwej, gniewnej i płacziwej kokieterii, którą nadaremnie doświadczała męża. Wuj Marek, mały, zgarbiony, o twarzy wyjałowionej z płci, siedział w swym szarym bankructwie, pogodzony z losem, w cieniu bezgranicznej pogardy, w którym zdawał się wypoczywać. W jego szarych oczach tlił się żar ogrodu, rozpięty w oknie. Czasem próbował słabym ruchem robić jakieś zastrzeżenia, stawiać opór, ale fala samowystarczalnej kobiecości odrzuciła na bok ten gest bez znaczenia, przechodziła triumfalnie mimo niego, zalewała szerokim swym strumieniem słabe podrygi męskości.

Było coś tragicznego w tej płodności niechlujnej i nieumiarkowanej, była nędza kreatury na granicy nicości i śmierci, był jakiś heroizm kobiecości triumfujący urodzajnością nawet nad kalectwem natury, nad insuficjencją męczyzny. Ale potomstwo ukazywało raczej tej paniki macierzyńskiej, tego szалу rodzenia, który wyczerpywał się w płodach nieudanych, w efemerycznej generacji fantomów bez krwi i twarzy.

Weszła Łucja, średnia, z głową nazbyt rozkwitłą i dojrziałą na dziecięcym i pulchnym ciele o mięsie białym i delikatnym. Podała mi rączkę lalkowatą, jakby dopiero pączkującą, i zakwitła od razu całą twarzą, jak piwonia przelewająca się pełnią różową. Nieszczęśliwa z powodu swych rumieńców, które bezwstydnie mówiły o sekretach menstruacji, przymykała oczy i płonila się jeszcze bardziej pod dotknięciem najobojętniejszego pytania, gdyż każde zawierało tajną aluzję do jej nadwrażliwego paniństwa.

Emil, najstarszy z kuzynów, z jasnoblonde włosami, z twarzą, z której życie zmyło jakby wszelki wyraz, spacerował tam i z powrotem po pokoju, z rękami w kieszeniach fałdzistych spodni.

Jego strój elegancki i drogocenny nosił piętno egzotycznych krajów, z których powrócił. Jego twarz, zwiędła i zmętniała, zdawała się z dnia na dzień zapominać o sobie, stawać się białą pustą ścianą z bladą siecią żyłek, w których, jak linie na zatartej mapie, plątały się gasnące wspomnienia tego burzliwego i zmarnowanego życia. Był mistrzem sztuk karcianych, palił długie szlachetne fajki i pachniał dziwnie zapachem dalekich krajów. Ze wzrokiem wędrującym po dawnych wspomnieniach opowiadał przedziwne anegdoty, które w pewnym punkcie urywały się nagle, rozpręgały i rozwiewały w nicość. Wodziłem za nim tęsknym wzrokiem, pragnąc, by zwrócił na mnie uwagę i wybawił mnie z udręki nudów. I w samej rzeczy zdawało mi się, że mrugnął do mnie oczyma, wychodząc do drugiego pokoju. Podążyłem za nim. Siedział nisko na małej kozetce, z kolanami krzyżującymi się niemal na wysokości głowy, tysej jak

kula bilardowa. Zdawało się, że to ubranie samo leży, fałdziste, zmięte, przerzucone przez fotel. Twarz jego była jak tchnienie twarzy – smuga, którą nieznany przechodzień zostawił w powietrzu. Trzymał w bladych, emaliowanych błękitnie dłoniach portfel, w którym coś oglądał.

Z mgły twarzy wyłoniło się z trudem wypukłe bielmo bladego oka, wabiąc mnie figlarnym mruganiem. Czułem doń nieprzepartą sympatię. Wziął mnie między kolana i taksując przed moimi oczami wprawnymi dłońmi fotografie, pokazywał wizerunki nagich kobiet i chłopców w dziwnych pozycjach. Stałem oparty o niego bokiem i patrzyłem na te delikatne ciała ludzkie dalekimi niewidzącymi oczyma, gdy fluid niejasnego wzburzenia, którym nagle zmętniało powietrze, doszedł do mnie i zbiegł mię dreszczem niepokoju, falą nagłego zrozumienia. Ale tymczasem ta mgiełka uśmiechu, która się zarysowała pod miękkim i pięknym jego wąsem, zawiązek pożądania, który napiął się na jego skroniach pulsującą żyłą, natężenie, trzymające przed chwilą jego rysy w skupieniu – upadły z powrotem w nicość i twarz odeszła w nieobecność, zapomniała o sobie, rozwiała się.



Nawiedzenie

1

Już wówczas miasto nasze popadało coraz bardziej w chro-
niczną szarość zmierzchu, porastało na krawędziach lisza-
jem cienia, puszystą pleśnią i mchem koloru żelaza.

Ledwo rozpowity z brunatnych dymów i mgieł poran-
ka – przechylał się dzień od razu w niskie bursztynowe
popołudnie, stawał się przez chwilę przezroczysty i złoty
jak ciemne piwo, ażeby potem zejść pod wielokrotnie roz-
członkowane, fantastyczne sklepienie kolorowych i rozleg-
łych nocy.

Mieszkaliśmy w rynku, w jednym z tych ciemnych
domów o pustych i ślepych fasadach, które tak trudno od
siebie odróżnić.

Daje to powód do ciągłych omyłek. Gdyż wszedłszy raz
w niewłaściwą sien i na niewłaściwe schody, dostawało się
zazwyczaj w labirynt obcych mieszkań, ganków, niespo-
dzianych wyjść na obce podwórza i zapominało się o po-
czątkowym celu wyprawy, ażeby po wielu dniach, wracając
z manowców dziwnych i splątanych przygód, o jakimś sza-
rym świecie przypomnieć sobie wśród wyrzutów sumienia
dom rodzinny.

Pełne wielkich szaf, głębokich kanap, bladych luster i tandetnych palm sztucznych, mieszkanie nasze coraz bardziej popadało w stan zaniedbania wskutek opieszałości matki, przesiadującej w sklepie, i niedbalstwa smukłonogiej Adeli, która, nienadzorowana przez nikogo, spędzała dnię przed lustrami na rozwlekłej toalecie, zostawiając wszędzie jej ślady w postaci wyczesanych włosów, grzebień, porzuconych pantofelków i gorsetów.

Mieszkanie to nie posiadało określonej liczby pokoi, gdyż nigdy nie pamiętano, ile z nich wynajęte było obcym lokatorom. Nieraz otwierano przypadkiem którąś z tych izb zapomnianych i znajdowano ją pustą; lokator dawno się wyprowadził, a w nietkniętych od miesięcy szufladach dokonywano niespodzianych odkryć.

W dolnych pokojach mieszkali subiekci i nieraz w nocy budziły nas ich jęki, wydawane pod wpływem zmory sennej. W zimie była jeszcze na dworze głucha noc, gdy ojciec schodził do tych zimnych i ciemnych pokoi, płosząc przed sobą świecą stada cieni, ulatujących bokami po podłodze i ścianach; szedł budzić ciężko chrapiących z twardego jak kamień snu.

W świetle pozostawionej przezeń świecy wywijali się leniwie z brudnej pościeli, wystawiali, siadając na łózkach, bosc i brzydkie nogi i ze skarpetką w ręce oddawali się jeszcze przez chwilę rozkoszy ziewania – ziewania przeciągniętego aż do lubieżności, do bolesnego skurczu podniebienia, jak przy tęgich wymiotach.

W kątach siedziały nieruchomo wielkie karakony, wyogromnione własnym cieniem, którym obarczała każdego

płonąca świeca i który nie odłączał się od nich i wówczas, gdy któryś z tych płaskich bezgłowych kadłubów z nagłą zaczynał biec niesamowitym pajęczym biegiem.

W tym czasie ojciec mój zaczął zapadać na zdrowiu. Bywało już w pierwszych tygodniach tej wczesnej zimy, że spędzał dnie całe w łóżku, otoczony flaszkami, pigułkami i księgami handlowymi, które mu przynoszono z kontuaru. Gorzki zapach choroby osiadał na dnie pokoju, którego tapety gęstwiały ciemniejszym splotem arabesk.

Wieczorami, gdy matka przychodziła ze sklepu, bywał podniecony i skłonny do sprzeczek, zarzucał jej niedokładności w prowadzeniu rachunków, dostawał wypieków i zapalał się do niepoczytalności. Pamiętam, iż raz, obudziwszy się ze snu późno w nocy, ujrzałem go, jak w koszuli i boso biegał tam i z powrotem po skórzanej kanapie, dokumentując w ten sposób swą irytację przed bezradną matką.

W inne dni bywał spokojny i skupiony i pogrążał się zupełnie w swych księgach, zabłąkany głęboko w labiryntach zawiłych obliczeń.

Widzę go w świetle kopcającej lampy, przykucniętego wśród poduszek, pod wielkim rzeźbionym nadgłowieм łóżka, z ogromnym cieniem od głowy na ścianie, kiwającego się w bezgłośnej medytacji.

Chwilami wynurzał głowę z tych rachunków, jakby dla zacerpnięcia tchu, otwierał usta, mlaskał z niesmakiem językiem, który był suchy i gorzki, i rozglądał się bezradnie, jakby czegoś szukając.

Wówczas bywało, że zbiegał po cichu z łóżka w kąt pokoju, pod ścianę, na której wisiał zaufany instrument.

Był to rodzaj klepsydry wodnej albo wielkiej fioli szklanej, podzielonej na uncje i napełnionej ciemnym fluidem. Mój ojciec łączył się z tym instrumentem długą kiszka gumową, jakby krętą, bolesną pępowiną, i tak połączony z żalonym przyrządem – nieruchomiał w skupieniu, a oczy jego ciemniały, zaś na twarz przybladłą występował wyraz skupienia czy jakiejś występnej rozkoszy.

Potem znów przychodziły dni cichej skupionej pracy, przeplatanej samotnymi monologami. Gdy tak siedział w świetle lampy stołowej, wśród poduszek wielkiego łoża, a pokój ogromniał w górze w cieniu umbry, który go łączył z wielkim żywiołem nocy miejskiej za oknem – czuł, nie patrząc, że przestrzeń obrasta go pulsującą gęstwiną tapet, pełną szepców, syków i seplenień. Słyszał, nie patrząc, tę znowę pełną porozumiewawczych mrugnięć, perskich oczu, rozwijających się wśród kwiatów małżowin usznych, które słuchały, i ciemnych ust, które się uśmiechały.

Wówczas pogrążał się pozornie jeszcze bardziej w pracę, liczył i sumował, bojąc się zdradzić ten gniew, który w nim wzbierał, i walcząc z pokusą, żeby z nagłym krzykiem nie rzucić się na oślep za siebie i nie pochwycić pełnych garści tych kędzierzawych arabesek, tych pęków oczu i uszu, które noc wyroiła z siebie i które rosły i zwielokrotniały się, wymajaczając coraz nowe pędy i odnogi z macierzystego pępka ciemności. I uspokajał się dopiero, gdy z odpływem nocy tapety więdły, zwijały się, gubiły liście i kwiaty i przeredzały się jesienią, przepuszczając dalekie świtanie.

Wtedy wśród świergotu tapetowych ptaków, w żółtym zimowym świetle, zasypiał na parę godzin gęstym czarnym snem.

Od dni, od tygodni, gdy zdawał się pograżonym w zawiłych konto-korrentach – myśl jego zapuszczała się tajnie w labirynty własnych wnętrzości. Wstrzymywał oddech i nasłuchiwał. I gdy wzrok jego wracał zbiełały i mętny z tamtych głębin, uspokajał go uśmiechem. Nie wierzył jeszcze i odrzucał jak absurd te uroszczenia, te propozycje, które nań napierały.

Za dnia były to jakby rozumowania i perswazje, długie, monotonne rozważania, prowadzone półgłosem i pełne humorystycznych interludów, filuternych przekomarzań. Ale nocą podnosiły się te głosy namiętniej. Żądanie wracało coraz wyraźniej i donioślej i słyszeliśmy, jak rozmawiał z Bogiem, prosząc się jak gdyby i wzbraniając przed czymś, co natarczywie żądało i domagało się.

Aż pewnej nocy podniósł się ten głos groźnie i nieodparcie, żądając, aby mu dał świadectwo uesty i wnętrzościami swymi. I usłyszeliśmy, jak duch weń wstąpił, jak podnosił się z łóżka, długi i rosnący gniewem proroczym, dławiąc się hałaśliwymi słowy, które wyrzucał jak mitralieza. Słyszeliśmy łomot walki i jęk ojca, jęk tyrana ze złamanym biodrem, który jeszcze urąga.

Nie widziałem nigdy proroków Starego Testamentu, ale na widok tego męża, którego gniew boży obalił, rozkraczonego szeroko na ogromnym porcelanowym urnale, zakrytego wichrem ramion, chmurą rozpaczliwych łamańców, nad którymi wyżej jeszcze unosił się jego głos, obcy i twardy – zrozumiałem gniew boży świętych mężów.

Był to dialog groźny jak mowa piorunów. Łamańce rąk jego rozrywały niebo na sztuki, a w szczelinach ukazy-

wała się twarz Jehowy, wzdęta gniewem i plująca przekleństwa. Nie patrząc, widziałem go, groźnego Demiurga, jak leżąc na ciemnościach jak na Synaju, wsparłszy potężne dłonie na karniszu firanek, przykładał ogromną twarz do górnych szyb okna, na których płaszczyl się potwornie mięsisty nos jego.

Słyszałem jego głos w przerwach proroczej tyrady mego ojca, słyszałem te potężne warknięcia wzdętych warg, od których szyby brzęczały, mieszające się z wybuchami zaklęć, lamentów, gróźb mego ojca.

Czasami głosy przycichały i zżymały się z cicha jak gaworzenie wiatru w nocnym kominie, to znowu wybuchały wielkim zgiełkliwym hałasem, burzą zmieszanych szlochów i przekleństw. Z nagłą otworzyło się okno ciemnym ziewnięciem i płachta ciemności wionęła przez pokój.

W świetle błyskawicy ujrzałem ojca mego w rozwianej bieliźnie, jak ze straszliwym przekleństwem wylewał potężnym chlustem w okno zawartość nocnika w noc, szumiącą jak muszla.

2

Mój ojciec powoli zanikał, wiądnął w oczach.

Przykucnięty pod wielkimi poduszkami, dziko nastroszony kępami siwych włosów, rozmawiał ze sobą półgłosem, pogrążony cały w jakieś zawile wewnętrzne afery. Zdawać się mogło, że osobowość jego rozpadła się na wiele pokłóconych i rozbieżnych jaźni, gdyż kłócił się ze sobą głośno, pertraktował usilnie i namiętnie, przekonywał i prosił, to

znowu zdawał się przewodniczyć zgromadzeniu wielu interesantów, których usiłował z całym nakładem żarliwości i swady pogodzić. Ale za każdym razem te hałaśliwe zebrania, pełne gorących temperamentów, rozpryskiwały się przy końcu wśród klątw, złorzeczeń i obelg.

Potem przyszedł okres jakiegoś uciszenia, ukojenia wewnętrznego, błogiej pogody ducha.

Znowu wielkie folianty rozłożone były na łóżku, na stole, na podłodze i jakiś benedyktyński spokój pracy zalegał w świetle lampy nad białą pościelą łóżka, nad pochyloną siwą głową mego ojca.

Ale gdy matka późnym wieczorem wracała ze sklepu, ojciec ożywał się, przywoływał ją do siebie i z dumą pokazywał jej świetne kolorowe odbijanki, którymi skrzętnie wylepił stronicę księgi głównej.

Zauważyliśmy wówczas wszyscy, że ojciec zaczął z dnia na dzień maleć jak orzech, który zsyca się wewnątrz łupiny.

Zanikowi temu nie towarzyszył bynajmniej upadek sił. Przeciwnie, stan jego zdrowia, humor, ruchliwość zdawały się poprawiać.

Często śmiał się teraz głośno i szczebiotliwie, zanosił się wprost ze śmiechu, albo też pukał w łóżko i odpowiadał sobie „proszę” w różnych tonacjach, całymi godzinami. Od czasu do czasu zląził z łóżka, wspinał się na szafę i przykucnięty pod sufitem porządkował coś w starych gratach, pełnych rdzy i kurzu.

Niekiedy ustawiał sobie dwa krzesła naprzeciw siebie i wspierając się rękami o poręcz, bujał się nogami wstecz

i naprzód, szukając rozpromienionymi oczyma w naszych twarzach wyrazów podziwu i zachęty. Z Bogiem, zdaje się, pogodził się zupełnie. Niekiedy w nocy ukazywała się twarz brodatego Demiurga w oknie sypialni, oblana ciemną purpurą bengalskiego światła, i patrzyła przez chwilę dobrotliwie na uśpionego głęboko, którego śpiewne chrapanie zdawało się wędrować daleko po nieznanych obszarach światów sennych.

Podczas długich półciemnych popołudni tej późnej zimy ojciec mój zapadał od czasu do czasu na całe godziny w gęsto zastawione gratami zakamarki, szukając czegoś zawzięcie.

I nieraz bywało podczas obiadu, gdy zasiadaliśmy wszyscy do stołu, brakło ojca. Wówczas matka musiała długo wołać „Jakubie!” i stukać łyżką w stół, zanim wylazł z jakiejś szafy, oblepiony szmatami pajęczyn i kurzu, ze wzrokiem nieprzytomnym i pogrążonym w zawitych, a jemu tylko wiadomych sprawach, które go zaprzętały.

Czasem wdrapywał się na karnisz i przybierał nieruchomą pozę symetrycznie do wielkiego wypchanego sępa, który po drugiej stronie okna zawieszony był na ścianie. W tej nieruchomej, przykucniętej pozie, ze wzrokiem zamglonym i z miną chytrze uśmiechniętą trwał godzinami, ażeby z nagłą przy czyimś wejściu zatrzepotać rękoma jak skrzydłami i zapać jak kogut.

Przestaliśmy zwracać uwagę na te dziwactwa, w które się z dnia na dzień głębiej wplątywał. Wyzbyty jakby zupełnie cielesnych potrzeb, nie przyjmując tygodniami pokarmu, pogrążał się z dniem każdym głębiej w zawile

i dziwaczne afery, dla których nie mieliśmy zrozumienia. Niedosięgły dla naszych perswazji i prośb, odpowiadał urywkami swego wewnętrznego monologu, którego przebiegu nic z zewnątrz zmącić nie mogło. Wiecznie zaafelowany, chorobliwie ożywiony, z wypiekami na suchych policzkach, nie zauważał nas i przeoczał.

Przywykliśmy do jego nieszkodliwej obecności, do jego cichego gaworzenia, do tego dziecinnego, w sobie zatopionego świągotu, którego trele przebiegały niejako na marginesie naszego czasu. Wtedy już zniknął niekiedy na wiele dni, podziewał się gdzieś w zapadłych zakamarkach mieszkania i nie można go było znaleźć.

Stopniowo te zniknięcia przestały sprawiać na nas wrażenie, przywykliśmy do nich i kiedy po wielu dniach znów się pojawiał, o parę cali mniejszy i chudszy, nie zatrzymywało to na dłużej naszej uwagi. Przestaliśmy po prostu brać go w rachubę, tak bardzo oddalił się od wszystkiego, co ludzkie i co rzeczywiste. Węzeł po węzle odluźniał się od nas, punkt po punkcie gubił związki łączące go ze wspólnotą ludzką. To, co jeszcze z niego pozostało, to trochę cielesnej powłoki i ta garść bezsensownych dziwactw – mogły zniknąć pewnego dnia, tak samo niezauważone jak szara kupka śmieci, gromadząca się w kącie, którą Adela co dzień wynosiła na śmietnik.